



Wyklęci na Polach Ayqalli

Emilia Rejner



Wiszące na bezchmurnym niebie słońce, choć przecież to samo, które górowało nad Heimareldem, tu, na gorących ziemiach Hadharu, ewidentnie wzięło sobie za cel wypalenie ludzkości do górej ziemi. Stojąc u wejścia do jednego z kanionów tworzących region Pól Ayqalli, Chatzka czuła, że płynie, roztopia jak jeden z tych karmelowych cukierków, które lubiła kupować na tahalskim targowisku. Choć masywne, wysokie ściany kanionu dawały trochę cienia, nie było dzięki temu chłodniej. Hadhar był gorący. Żar lejący się z nieba rzadko kiedy ustępował, bo nawet pory lodu – a przynajmniej to, co tutaj rozumiano jako porę lodu – były skwarne i suche.

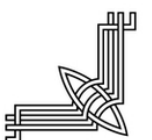
– Straszny upał – mruknął cicho Jaskai, otrzepując się z rdzawobrązowego pyłu osiadającego na rękawach, nogawkach, na kruczych włosach i młodej twarzy. Robił to już kilkakrotnie, odkąd zbliżyli się do kanionów, Chatzka nie widziała jednak, by przynosiło to jakiegokolwiek efekty poza rozmazaniem rudych smug na śniadej, spoconej twarzy.

Jaskai Amar był tubylcem, jednym z ludzi dworu jafrata Birhamma, nie wyglądał jednak, jakby znosił tutejsze pogody lepiej od niej.

– Jest tragicznie gorąco – powtórzył i potrząsnął głową, wzdychając cicho. – To chyba te zmiany klimatu, bo dałbym sobie uciąć rękę, że jeszcze w zeszłym roku nie było tak źle. Że... – Wykonał bliżej niesprecyzowany gest ręką, jakby próbując pochwycić uciekające słowa. – Że dało się oddychać.

Chatzka milczała.

– Jafrat Birhamm mówi, że powinniśmy się przyzwyczajać – ciągnął Jaskai, niezrażony brakiem odpowiedzi. – Mówi, że prawdopodobnie będzie jeszcze gorzej, bo ziemia... Kontynenty... – zawahał się





i przerwał nagle, marszcząc brwi. – Nie wiem. Nie pamiętam – przyznał i wzruszył lekko ramionami.
– W każdym razie, podobno nie ma co liczyć na to, że będzie chłodniej.

Chatzka nie odezwała się. Jaskai westchnął cicho i umilkł. Bjortari przybyła z północy, z gór Heimareldu, nie była specjalnie rozmowna i Amar nie spodziewał się, by weszła z nim w większą dyskusję. Nie oczekiwał tego, ale sam nie potrafił milczeć. Wiedział, co czeka na nich w głębi kanionu, a ciągle płynący potok słów pozwalał mu przynajmniej przez chwilę o tym nie myśleć. Teraz, kiedy nie miał już nic do dodania, cisza zaczęła mu ciążyć. Gdy kobieta zdecydowała się wreszcie ruszyć powoli w głąb kanionu, westchnął po raz wtóry i z ociąganiem podążył za nią.

Z tego miejsca wciąż jeszcze nie było nic widać, ale Chatzka wiedziała, co chcą jej pokazać. Mniej więcej wiedziała – tyle, ile powiedział jej Jaskai, a ten z kolei powiedział tyle, na ile pozwolił mu jafrat Birhamm. To wystarczyło jednak, by miała jako takie pojęcie, co czeka na nią na Polach Ayqalli.

Chatzka nie czuła lęku. Przestała go czuć już dawno i było to przekleństwo, z którym musiała żyć. To, że teraz wahała się przez chwilę, wynikało z niepewności, nie przerażenia. Z powątpiewania i, być może, pewnej bezradności, nie z lęku. Była przybłądą z północy, wychowaną w mieście Urkari, bez przeszłości i bez nazwiska, za to z bardzo silnym Zewem. To, że go słyszy, było oczywiste dla każdego, kto na nią spojrzał. Milcząca, zdystansowana i odrobinę zaszczuta, spoglądała na świat dzikimi, zwierzęcymi oczyma. Nie była nieokieznana, ale z pewnością nie była też przewidywalna. Nie sprawiała kłopotów, ale jej obecność zmuszała do zachowania czujności. Gdy kilka lat później po raz pierwszy pokazała swą zwierzęcą postać – białego doga atyrskiego, totem klanu z Urkari – nie była już obcą, lecz jedną z nich, jedną z plemienia atyra. Nikt przy tym nie oczekiwał, że Chatzka zostanie z nimi długo. Wiadome było, że stolica północy jest dla młodej, złaknionej świata varty zbyt ciasna. Na pierwszą hadharską zmianę wyruszyła jako siedemnastolatka, by, podobnie jak inni zmiennokształtni, poddać się badaniom w Tahalskim Instytucie Nauk Naturalnych. Po raz drugi i trzeci pojechała do Hadharu już sama, jako woj, ale, przede wszystkim, jako doskonały myśliwy i tropiciel. Potem mówiono, że choć była bjortari, to w Hadharze spędziła znacznie więcej czasu niż na rodzinnych szlakach Euxaniru. Nie było to prawdą. Zgadzało się natomiast to, że suche ziemie południa doświadczyły ją znacznie bardziej niż północ. Że południe ją odmieniło, i że to właśnie ono sprawiło, że na lęk w sercu varty od lat nie było już miejsca.

– Możesz zaczekać – rzuciła nieoczekiwanie, oglądając się przez ramię na Jaskaia.

Jej głos był suchy, chrapliwy, zmieniony przez lata bycia vartą. Przez ostatnie półwiecze zmieniło się w niej zresztą znacznie więcej. Miała za sobą już sześćdziesiąt siedem pór lodu i niezliczoną ilość transformacji, które odcisnęły na niej wyraźne piętno. Kobięca twarz wydłużyła się nieco na podobieństwo szerokiej, psiej mordy, uszy obniżyły się i wysmukliły, a naturalnie ciemne tęczęwki niemal złąły się z czernią źrenic. Patrząc w lustro, już od dawna widziała bardziej zwierzę niż człowieka i wiedziała, że inni postrzegają ją podobnie.





- Możesz zaczekać – powtórzyła, czując smród niechęci płynący od Jaskaia. Wyczucie zmysłów było kolejną ze zmian nieodmiennie związanych z życiem vart. – Pójdę sama i zaraz wrócę.

Amar westchnął cicho i z żalem pokręcił głową.

- Nie mogę. Chciałbym, ale... – zaczął, spoglądając na szerokie plecy Chatzki.

Gdy na niego nie patrzyła, była po prostu kolejną z wojów bjortari, twardą córą gór. Kiedy jednak zwracała ku niemu swe spojrzenie, subtelne zmiany jej fizyczności stawały się bardziej wyraźne, a wzrok... Jaskai westchnął po raz wtóry, tym razem bezgłośnie. Nie do końca rozumiał, czym były varty i skąd wzięty się na świecie, ale co do jednego nie miał wątpliwości – wolął mieć je po swojej stronie niż po stronie wroga. Całe szczęście, że jafraci rozmawiali tak samo.

- Chciałbym, ale nie mogę. Jafrat Birhamm kazał mi...

- Nie spuszczać mnie z oka – dokończyła Chatzka i parsknęła krótkim śmiechem.

- Tak jakby – przyznał Jaskai z wahaniem, po czym wzruszył ramionami i dodał z większym przekonaniem:

- Tak. W zasadzie tak właśnie powiedział.

Varta uśmiechnęła się przelotnie, nie odezwała się jednak więcej.

Potem, gdy wreszcie dotarli na miejsce, zatrzymała się gwałtownie i odetchnęła powoli. Trzy hadharskie zmiany, na których była, solidnie ją doświadczyły. Po nich zrosowała, dlaczego życzenie życia w ciekawych czasach jest tak naprawdę przekleństwem. Widziała rzeź pod Tamsalem, dwie Eskalacje, uczestniczyła w oblężeniu Sidrhamu. Sądziła, że niewiele ją już może zaskoczyć. Teraz jednak, stojąc pomiędzy wysokimi ścianami kanionu Gadhabu, była zdziwiona.

Marszcząc szeroko rozstawione nozdrza, Chatzka przestąpiła nad pierwszym z ciał bjortari. Większość z kilkunastu zwłok zebranych w suchym, skalnym korytarzu zostało rozpostartych na swego rodzaju stelażach, dla tych jednak najwyraźniej ich zabrakło. Zatrzymała się przed jednym z zamordowanych, krzywiąc się nieznacznie. Sklecona naprędce żelazna konstrukcja zdawała się trzymać jedynie na słowo honoru, lecz była wystarczająco trwała, by utrzymywać zwłoki w groteskowym wygięciu. Mrużąc zwierzęce ślepi, kobieta przyglądała się ciału uważnie. Nadana mu poza nie mogła być przypadkowa, ale zmiennokształtna nie rozumiała jej znaczenia. To była ofiara, nie uległa wątpliwości. Zagadkowy był tylko sposób jej złożenia.

- Która to już z kolei? – zapytała wreszcie, przerywając ponurą ciszę. Amar chwycił się słów jak tonący deski.

- Trzecia w tym miesiącu, łącznie... – chrząknął cicho, jakby zastanawiając się, choć przecież doskonale wiedział, ile podobnych miejsc znaleziono. Był we wszystkich, widział każde z nich. – Piąta. O tylu wiemy. Wszystko zaczęło się kilka tygodni temu, ale teraz dzieje się jakby... Szybciej. Zaczęli się spieszyć.

Chatzka odetchnęła powoli.





– Kult – rzuciła krótko. Nie pytała, ale Jaskai i tak skinął głową.

– Kult. Dokładniej, Synod Zarash Maal, ósmej inkarnacji Mah'Tali Ammaqat Dhibri, Patrzącej Przez Wieki. To inkarnacja Mścicielki. Tej, Która Sądzi. Mniej znana interpretacja mówi też, że to Ta, Która Porządkuje. To dlatego co śmielsi zaczęli nazywać Synod *sprzątacami*. Oczywiście, nigdy w obecności samych kultystów. – Aram zaśmiał się krótko, urywanie.

Nie trzeba było zmysłów varty, by wyczuć napięcie Jaskaia i jego narastającą panikę. Chatzka milczała. Nozdrza drgały jej lekko, gdy wciągała suche, gorące powietrze, a wraz z nim mieszaninę zapachów. Tym, która woń jest ważna, a która nie, zamierzała zająć się później.

– To muszą być oni – ciągnął tymczasem Jaskai, wiedząc, że gdy przestanie mówić, znów znacznie wyraźniej dostrzeże grymasy wykrzywające pośmiertnie stężałe twarze, krew pozasychaną na podtrzymujących zwłoki stelażach i ciemne plamy tam, gdzie umierających związano zbyt mocno. – To musi być Synod. Tylko oni wierzą, że...

– *Zimna krew przywróci ją do życia* – wymruczała Chatzka, wodząc wzrokiem po ciałach pobratymców, a Jaskai umilkł nagle.

– To... – zająknął się, wreszcie westchnął cicho i powoli skinął głową. Nie spodziewał się po niej podobnej wiedzy, z drugiej strony jednak powinien wiedzieć, że Chatzka jeszcze niejednym go zaskoczy.

– Tak – przytaknął wreszcie, potwierdzając słuszność cytatu przytoczonego przez kobietę. – Właśnie. Tak mówi przepowiednia.

Varta skrzywiła się i zacisnęła dłonie w pięści, by uspokoić ich drżenie.

* * *

Lata wcześniej, w kanionach na Polach Ayqalli przykładowie osądzono i wyklęto zbrodniarzy. Wszystko odbyło się w zgodzie z obowiązującymi edyktami Aranmuku – Kapituly czy, jak również ich zwano, Dziewięciu Wież – które z kolei wywodziły się z nakazów samej Mah'Tali Ammaqat Dhibri, Patrzącej Przez Wieki. Mimo tego, kiedy sucha ziemia Pól sptynęła gorącą, gęstą krwią ukaranych, podniosły się głosy o niesprawiedliwości. Zaczęto szeptać o tym, że wolność nigdy nie powinna być zbrodnią. Głośniej pytano, czy występkiem można nazwać dążenie do szczęścia, jeśli nikomu przy tym nie dzieje się krzywda? Co niektórzy podnieśli krzyk o nadmierną surowość Aranmuku, inni, odważniejsi, tonem mędrców głosili, że tędy wiedzie droga do terroru. *Wyklęci są pierwszymi ofiarami, mówili, a ich krew tylko podsyci pragnienie.*

Aranmuk słuchał, jednak nie reagował. Zaczepiany, nie odpowiadał, a na oznaki buntu uśmiechał się tylko pobłaźliwie. Mówiono wtedy, że Dziewięć Wież jest nieme wtedy, kiedy należałoby mówić. Powtarzano, że Dziewięć Wież jest głuche, kiedy należałoby słuchać.

Jafraci milczeli, sycąc się krwią wsiąkającą w pył Hadharu.





Tak narodzili się Wyklęci, a z nich wykiętkował Synod. Gdy spisano przewiny skazańców, okazało się, że nie powinni być sądzeni. Gdy stworzono listę czynów, za które obłożono ich Pierwszą Klątwą, odmawiając im godnego pochówku, okazało się, że czyny te popełnia co trzeci obywatel Konfederacji Med'Hadhar. Gdy przyjrzano się wreszcie każdemu z osobna, jasnym stało się, że największą ich przewiną było stanie w opozycji do jafratów – wszystkich lub któregoś z nich.

Synod rodził się w ciszy. Podniesione głosy umilkły, gdy ludzie zwrócili się ku Patrzącej Przez Wieki, szukając u niej sprawiedliwości. A ona mogła im ją dać. W swym ósmym wcieleniu była przecież Mścicielką, ale też – jak mówiono, sięgając po mniej powszechną, bardziej kontrowersyjną interpretację – Sprawiedliwą.

Zaczęto mówić, że Wyklęci byli pierwszymi synami tej, która nadejdzie, a ich męczeńska śmierć była wezwaniem. Ci, którzy nadeszli po nich, wiedzieli już, do czego należy dążyć. *Ona nas wysłucha*, powtarzali z przekonaniem. *Nadejdzie, bo jesteśmy tego warci. Bo zastużyliśmy na jej miłosierdzie.*

Nie wszyscy, oczywiście, byli warci i nie każdy miał zostać oszczędzony przez Mścicielkę. Łaska miała spłynąć na Wyklętych i ich dziedziców, bo tylko ci umieli słuchać.

Synod kształtował się przez lata i przez lata też formowały się przepowiednie. Zarash Maal mówi przez objawienia, tak głoszone, a tych, którzy godni byli dostrzec cień Mścicielki w suchych piaskach Hadharu, wynoszono na piedestał. Kolejne proroctwa spisywano na złotych płytkach, starannie ryjąc obrazkowe znaki świętego języka. Gromadzono przepowiednie i studiowano je, z czasem wreszcie wskazując tę najważniejszą, tę, która miała wskazać im drogę.

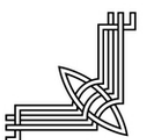
Zimna krew przywróci ją do życia, powiedział Yibu Quatla, jeden z pielgrzymów Synodu, powracając z dwutygodniowej wędrówki przez węzowe korytarze ruin Mahaby. *Zimne serce umilknie, by gorące mogło zabrznieć. Zimna krew ją napoi i otworzy zmartwiłe oczy. W ślepych tęczęwkach rozbłyśnie ogień, a niebo spopieleni oddech sprawiedliwych.*

Słowa Yibu Quatli spisano podobnie, jak spisywano inne objawienia, nie rozumiano ich jednak wtedy. *Nie ma zimnej krwi w Hadharze*, mówiono. *Hadhar jest gorący*, powtarzano, *i gorące są bijące w nim serca.*

Proroctwo Zimnej Krwi, jak je nazwano, spoczęło wraz z innymi przepowiedniami. Długo czekało, nim dostrzeżono je ponownie.

Pierwsza hadharska zmiana dotarła na tereny Konfederacji w 3146 roku cyklu Thynnir, trzeciego według rachuby czasu bjortari. Miłoścyw Sirhali Ashka, stojący ówczesnie na czele Synodu Zarash Maal, poczuł powiew zimna znad portowych wód Ahl'Tahal, a jego serce skuł lód. Sirhali po raz pierwszy doświadczył czegoś podobnego i szybko zrozumiał, co to oznacza.

Odkąd do Hadharu dotarło zimno – zimne serca i zimna krew – potrzeba było kolejnych stuleci, by Synod stał się wystarczająco silny. Wyklęci czekali, modlili się i szkolili, wiedząc już, czemu muszą stawić czoła.





Minęło tysiąclecie, nim stali się gotowi. Po Sirhalim nadszedł Attar, po nim Immani, następnie Eiara, Dafzhal i wielu kolejnych, nim wreszcie Zarash Maal dała im znak, na który czekali.

Gdy bogini skinęła głową ponad piaszczystymi wzgórzami Alahmaanu, Riqah Bidain, Syn Mściwej, odetchnął z ulgą.

* * *

Potem, będąc już z powrotem w Dziewięciu Wieżach, gdy złożył już sprawozdanie jafratowi Birhammowi i rozsiadł się na szerokim parapecie swego mieszkania w Kapitule, Jaskai Amar westchnął cicho, przecierając dłonią pobladłą, noszącą ślady wyczerpania twarz.

Był wiernym sługą Aranmuku i cenionym w swym fachu Obserwatorem, a jednak coraz częściej łąpał się na myśli, że to jednak nie dla niego.

Mogłem zostać na farmie, myślał, błędząc wzrokiem po rozciągającym się u stóp Wież mieście, barwnym, gwarnym Ahl'Tahal. Mogłem zostać i być szczęśliwy.

Tu, w Kapitule, choć przez lata zyskał bardzo wiele, szczęśliwy nie czuł się ani trochę.

By zdusić podobne rozważania w zarodku – dusił je zawsze, nie chcąc, by w którymś momencie popchnęły go do nierozważnych decyzji – wrócił myślami do minionego dnia. Przywołane obrazy nie zrobiły się nagle przyjemniejsze dla oka, ale teraz, we własnym mieszkaniu, był w stanie zachować spokój i raz jeszcze wszystko przeanalizować.

A było się nad czym zastanawiać, bo tam, w kanionie...

Chatzka nie spieszyła się, klucząc między stelażami i przyglądając się kolejnym ciałom. Jaskai skrzywił się, przypominając sobie nazwiska padające z ust varty i ton, jakim je wypowiadała.

– Eigir Halle – stwierdziła, spoglądając na młodego, płowowłosego mężczyznę rozpostartego na jednej z konstrukcji. – Był naszym zwiadowcą – kontynuowała, przyglądając się połamanym żebrom wystającym niczym makabryczna rzeźba z rozdartej skóry na piersiach denata. – Gdy mieliśmy chwile wolnego, lubił włączyć się po okolicy w poszukiwaniu lokalnych roślin. Nie zrywał ich, nie zbierał. Po prostu oglądał.

– Finn Skilfrad – powiedziała, zatrzymując się przy kolejnym ciecie. Mężczyzna był starszy niż Eigir, a jego bujna czupryna i gęsty zarost miały barwę kruczych piór. Jaskai pamiętał, że spoglądając przez ramię Chatzki, dostrzegł wplecione we włosy koraliki i drobne fragmenty kości. – Jeden z wojów z Urkari. To była jego druga zmiana. Po pierwszej Hadhar tak mu się spodobał, że zapragnął go więcej. – Milczała przez chwilę. – Był sam, w Heimareldzie nikt na niego nie czekał, ale Finn zawsze z uporem powtarzał, że nie musi mieć pełnej chaty, by czuć, że to jego dom. I chyba rzeczywiście tak było. Dobrze czuł się sam ze sobą.





Thore Ellryt, akolita rzuciła nad ciałem chtëpca rozkrzyżowanego na suchej ziemi, kucając przy nim, by musnąć delikatny, nieporośnięty jeszcze zarostem policzek. *Vervara Haddai*, wymruczała przy makabrycznie wygiętych złowkach. *Był świetnym myśliwym*. Ingunn Filiann, Tove Hyndlarr, Ynsvi i Unnir Thjodraud.

Kolejne nazwiska wirowały w myślach Jaskaia w chaotycznym, przyprawiającym o mdłości tańcu. Amar zacisnęła powieki, palcami rozmasowując skronie.

Chatzka znała ich wszystkich. Musiała mieć świetną pamięć, pomyślał nagle Jaskai i skrzywił się na swą małostkowość. Nieistotne, jaką miała pamięć. Ci ludzie byli dla niego kolejnym przypadkiem, ale dla niej to byli bracia i siostry. Jej pobratymcy, rodzina, z którą...

Uspokój się. Jaskai wciągnął gwałtownie powietrze. Jak za każdym razem, gdy popadał w panikę, w głowie brzmiał mu ostry głos ojca. Stary Hasal Amar mógł nie żyć już od niemal dziesięciu lat, jego pogardliwy ton żył jednak w głowie Jaskaia i raczej nie zamierzał zamilknąć.

Jaskai odetchnął powoli, głęboko. Dla Chatzki propozycja jafrata musiała być śmieszna. Żałosna. Poniżej godności. A mimo tego przyjęła ją z dumą, której Amar jej zazdrościł. Głos jej nie zadrżał, nie drgnęła też powieka. Varta spoglądała na niego długo, ze spokojem, który, biorąc pod uwagę okoliczności, w pewnym momencie stał się niemal przerażający.

– Powiedz jafratowi, że przyjmujemy ofertę – powiedziała, kiedy pośród ciał w kanionie Gadhaby powtórzył jej słowa Aranmuku.

Sprawcy tych okropności nie są naszymi ludźmi. Wyciągając rękę na naszych umiłowanych, dumnych bjortari, wyciągnęli rękę także na nas. Powiedz im, że wydajemy im ich. Mogą z nimi uczynić co zechcą, a Kapituła nie wysunie wobec nich żadnych zastrzeżeń. Ewentualne protesty, jakie, być może, się pojawią, również nie będą rozpatrywane. W imieniu Dziewięciu Wież składam przysięgę na honor swego plemienia, że Hadhar uszanuje decyzje podjęte przez ludzi gór.

Jaskai powtórzył wszystko co do słowa. Jego pamięć była nie gorsza od pamięci Chatzki. Po wypowiedzeniu ostatnich sylab, gdy ostatnia kropka przebrzmiała w ponurej ciszy, Amar czuł niesmak do samego siebie. Zdawał sobie sprawę, jak brzmią te piękne słowa. Jak pusto, jak obrzydliwie. Jakbyśmy robili im łaskę. I on, i jafrat Birhamm, i pozostałych ośmiu ojców kapituły zdawało sobie sprawę, że bjortari nie potrzebowali ich zgody i że nie zamierzali o nią pytać. Wiadomo było, że ludzie gór wygzekwują swą sprawiedliwość niezależnie od tego, jak zostanie to ocenione w Hadharze, a Kapituła w tym przypadku niewiele będzie mogła im uczynić. Nic poza nakazaniem powrotu do domu, ale czy to rzeczywiście byłaby kara? Jaskai szczerze w to wątpił.

Gładkie słowa jafrata Birhamma, które tak posłusznie powtórzył, były niczym innym jak próbą zachowania pozorów. Aroganckim puszeniem piór i nadymaniem piersi, byle tylko nie wyjść na słabych. A byli słabi.





Na hadharskiej ziemi żaden bjortari nie powinien stracić życia w taki sposób. To, że w ogóle do czegoś takiego doszło, było rysą na nieskalanym obliczu Aranmuku.

Mówiąca w imieniu swych pobratymców – tych tworzących hadharską zmianę, ale również tych pozostawionych w Heimareldzie – Chatzka miała pełne prawo go wyśmiać. Jego, Jaskaia Amara, Obserwatora w służbie Kapituły, a w ten sposób także sam Aranmuk. Miała do tego prawo, bo Dziewięć Wież pluło jej w twarz i nawet się z tym nie kryło. Przyjęła jednak ofertę, jakby propozycja jafratów rzeczywiście była czymś, czego potrzebowali. Skinęła lekko głową w niemym podziękowaniu, spokojem odpowiadając na niepewne spojrzenie Jaskaia.

Ma w sobie znacznie więcej godności niż wszyscy jafraci razem wzięci, pomyślał Amar, wiedząc, że gdyby powiedział coś podobnego na głos, konsekwencje byłyby trudne do przewidzenia. Gdy chodziło o karanie niepokornych, Aranmuk zwykł wykazywać się godną pozazdrosczenia kreatywnością.

– Powiedz jafratowi, że przyjmujemy ofertę – powtórzyła Chatzka w myślach Jaskaia, a ten westchnął cicho. – Rozpoczniemy towarzyszy jutro o wschodzie słońca.

* * *

Byli w drodze od trzech godzin, podążając tropem wskazywanym przez Chatzkę, gdy napotkali na szlaku dżinna.

Hadharskie rakmy były zaledwie jedną z wielu odmian gatunku, jakim były dżinny, jednocześnie jednak jedynym znanym bjortari. Z wyglądu zupełnie ludzkie, żyjące w plemienu do złudzenia przypominającym inne plemiona Konfederacji, w rzeczywistości z ludźmi niewiele mieli wspólnego. Całe widoczne podobieństwo do mieszkańców Hadharu było świadomym wyborem rakm, decyzją podjętą na wiele setek lat wstecz, gdy dżinny po raz pierwszy pojawiły się na pustynnych, gorących ziemiach. Ludzkie ciała, choć w pełni materialne, w rzeczywistości stanowiły iluzję nie mającą nic wspólnego z naturą rakm, dżinny bowiem same w sobie nie miały żadnej konkretnej formy. Czy mowa o hadharskich rakmach, czy ahab mahri z jeszcze dalszego południa, czy też o escu i aandri spotykanych w wyspiarskiej Republice Tavli-Sonne – wszystkie stanowiły czystą, niemal niczym nieograniczoną energię skumulowaną wokół jakiegoś rdzenia. Tyle było o dżinnach wiadomo i niewiele więcej, bowiem one same niezbyt dawały się poznać. Z powodzeniem upodabniając się do ludzkich społeczności, wielokrotnie przez całe swe istnienie – mogące trwać lata, ale, znacznie częściej, wieki czy tysiąclecia – nie ujawniały swej prawdziwej tożsamości. Same sobie narzucając ograniczenia typowe dla ludzi, żyły podobnie jak ci, wśród których osiadły. Dlaczego to robiły – tego nikt nie wiedział i mało kto rozumiał. Mając do dyspozycji nieskończoną moc, jak sobie to wyobrażano, samoograniczenie się było dziwne, zupełnie irracjonalne. Czemu narzucać sobie zakazy, kiedy można wszystko? Oczywiście, nikt nigdy nie zadał dżinnowi podobnego pytania, lub też nie żył dość długo, by przekazać przebieg podobnej rozmowy innym.





Rakma, którą napotkali na szlaku, miała ciało czterdziestoletniego mężczyzny w typowej, powłóczyściej szacie plemion suchych ziem. Kruczoczarne włosy i krótko przyciętą brodę przetykały pasma siwizny, a strzaskaną słońcem skórę przecinała sieć drobniutkich zmarszczek. Wszystko to było bardzo ludzkie i tylko spojrzenie wskazywało, że człowiek ten widział znacznie więcej, niż mógłby, będąc w wieku, na jaki wskazywał wygląd. Tylko ciemne, niemal czarne oczy i niepokojąco ograniczona mimika ujawniały, że tak naprawdę nic w napotkanym ludzkie nie jest, że wszystko jest zaledwie maską kryjącą znacznie, znacznie więcej.

Bjortari sięgnęli po broń, choć przecież powszechnie wiadomym było, że z rakmami się nie walczy. Były wprawdzie śmiertelne, można było je unicestwić, z pewnością jednak nie czyniło się tego stałą i nie próbowało się tego, gdy nie było się zmuszonym. Cena za istnienie dżinna zawsze wielokrotnie przewyższała cenę za jakiegokolwiek inne życie.

- Nie - warknęła cicho Chatzka, słysząc za plecami szcęk szerokiego miecza wysuwanego z pochwy. To Odrik Ethial, nie musiała się oglądać, by to wiedzieć. Znała swoich ludzi. Z daleka rozpoznawała ich zapachy, ich szepty, brzmienie ich kroków i to, który jak chrapał.

- Nie - powtórzyła cicho, nie spuszczać oka z dżinna.

Rakma tylko patrzył. Czekał. Chatzka też czekała, spokojnie znosząc świdrujące spojrzenie czarnych niczym morska głębia oczu. Pustynny duch uśmiechnął się wreszcie przelotnie, przez jedną, krótką chwilę nieco bardziej przypominając człowieka.

- Idziecie ścieżką krwi - powiedział powoli, starannie dobierając słowa. W jego głosie rezonowała mądrość wymykająca się ludzkiemu pojmowaniu. To nie była zwykła inteligencja, lecz echo niezliczonych lat i doświadczeń, które stały się udziałem rakmy. W jego głosie brzmiały nuty historii tak długiej, że nie sposób było określić jej ram. Dżinn był stary, bardzo stary. Być może był jednym ze starszych w swym pleminiu.

- Krew za krew - kontynuował mężczyzna. Varta nie słyszała za sobą szcęku na powrót chowanej broni, na ten moment musiała wystarczyć jej wiara, że żadnemu z jej braci dłoń nie zadrży niepotrzebnie, że zapanują nad swą stałą tak, jak powinien panować każdy szanujący się wojownik. Wierzyła w nich, ufała im i była niemal pewna, że jej nie zawiodą. Niemal. Zawsze pozostawały jakieś wątpliwości, małe podstępne węże szepczące jej do ucha, że coś kiedyś się zepsuje. Może teraz. A może dopiero za kolejne trzy dekady.

- Mógłbym wam ją dać - powiedział rakma, a Chatzka zmrużyła oczy. - Krew, której szukacie. Wiem, gdzie jest. Słyszę jej szum i bicie serc, których pragniecie.

Varta milczała.

- Ta krew jest gorzka - mówił dżinn, a jego głos zlewał się czasami ze śpiewem suchego wiatru znad pustyni. Słowa rozmywały się czasem, jakby same stawały się ciepłymi podmuchami. Brzmiały zgrzytem piasku między zębami i trzaskiem suchych zarośli wyrwanych z ziemi i toczonych przez spękaną ziemię. Chatzka





z trudem powstrzymywała się, by nie potrząsnąć głową, nie zacząć drapać w uszach jak pies chcący pozbyć się jakiegoś drażniącego, łaskoczącego okrucza.

– Gorzka i... trująca. Jest skażeniem – kontynuował rakma, z uwagą przyglądając się varcie.

Patrzył też na innych, poświęcił chwilę każdemu z kilkunastu bjortari podążających za zmiennokształtną, ale Chatzka miała wrażenie, że to ją najbardziej kłuje jego spojrzenie, że tylko ona czuje pałające od rakmy gorąco.

Mężczyzna zamilkł na dłuższą chwilę. Wreszcie cofnął się o krok, gestem wskazując kierunek. W oddali majaczył cień zabudowań. Wieś, może małe miasto. Jedna z wielu niewielkich, otoczonych suchymi równinami osad, przytułek dla ludzi zbłąkanych na niegościnnej ziemi.

– To tam – obwieścił dzinn coś, co już wiedzieli. Co ona już wiedziała. Trop, choć stary, dla niej wciąż jeszcze był wyczuwalny. Prowadził właśnie tam. – Nawet nie próbują się ukrywać.

Chatzka przyglądała się przez chwilę odległym zabudowaniom, ginącym częściowo w tumanach piasku i kurzu.

– Pójdź z nami – rzuciła krótko. W jej głosie zgrzytał piach, ale nie tak, jak w przypadku rakmy. Gdy on mówił, mówiła przez niego pustynia. Chatzkę pył dławił, przyduszała, próbował wepchnąć jej słowa z powrotem do gardła. Nie była stąd. Piasek jej nie chciał.

Rakma uśmiechnął się przelotnie, nic nie mówiąc. Varcie wydawało się, że dostrzega delikatny ruch głowy, ulotne zaprzeczenie, ale równie dobrze mogło jej się tylko wydawać. Dzinn milczał, jeszcze przez chwilę przyglądając się ludziom gór. Gdy odszedł, ślady stóp na piaszczystym szlaku rozwiały się w ciągu kilku minut.

Chatzka ruszyła przed siebie, nie dlatego, by była tak gotowa do działania, co raczej po to, by nie zostawać w tym dziwnym miejscu dłużej, niż to potrzebne. To nie była jej pierwsza zmiana w Hadharze, jednak... Lubiła tu wracać, chociaż nie czuła się tu dobrze. Trudno to było wytłumaczyć.

– Jesteś pewna? – spytał w pewnej chwili Sidhan Lehri, jej myśliwy, równając się z nią krokiem. Żaden z bjortari nie podważył jej zdania i żaden nie zaoponował, gdy ponownie narzuciła tempo i kierunek, Chatzka czuła jednak wahanie. Niezbyt duże, niezbyt głośne, było jednak obecne i drżało delikatnie w suchym powietrzu.

– Nie – odpowiedziała spokojnie.

Już dawno przestała silić się na pozę zawsze dumnej, zawsze pewnej, zawsze odważnej. Nie była taka. Nie była też ich przywódcą, choć właśnie taką chcieli ją widzieć. Weteranka zmian, ta, która poprowadzi ich przez piaski. Pozwoliła im w to wierzyć i przyjęła daną jej rolę. Gdy mówiono o niej jako przywódcy, ciemnych oczu nie rozjaśniał jednak blask satysfakcji czy zadowolenia.

– Nie – powtórzyła – Nie jestem pewna.





Była z nimi szczerą, bo na to zasługiwali. Na szczerłość, szacunek i wdzięczność. Na to, by oddać im swe serce. Byli jej ludźmi, na thynów. Jej braćmi i siostrami, jej rodziną. Ci podążający teraz za nią i ci, którzy już nigdy nie opuszczą hadharskiej ziemi, złożeni w pokracznej ofierze w imię fanatycznej wiary w przepowiednie. Wszystkich ich kochała, choć była to miłość sucha, oschła, zwierzęca raczej niż ludzka, wyrażająca się w lojalności i czynach, nie w słowach.

– Nie mogę być pewna. Rakmom przecież nie powinno się ufać, nie bezgranicznie – kontynuowała, wiedząc, że słuchają wszyscy, nie tylko Sidhan.

– Właśnie – przytaknął Garo Varrveig. Jego głos zawsze przypominał dźwięk schodzącej lawiny, podobnie jak on sam upodabniał się w jej oczach do masywnej, niewzruszonej góry. – To może być pułapka. Teraz, gdy... – urwał, wiedziała jednak, co chciał powiedzieć. Inni też wiedzieli.

Teraz, gdy na nas polują, tam może być wszystko.

Wiedziała o tym. To oczywiste, że też się wahała. Też nie miała pewności.

Odrik roześmiał się gardłowo.

– Podążanie za radami z dupy nie jest zbyt rozsądne – rzucił z typową dla siebie bez troską. Był dobrym wojem. Godnym zaufania. Poczucie humoru, prosty język i tanie żarty były jego sposobem na rozładowywanie napięcia. Cenili go za to tyleż samo, co za wprawę w boju. – Z pewnością nie jest rozsądne, to raczej skrajna głupota, ale...

Chatzka uśmiechnęła się przelotnie.

– Ale my nigdy nie jesteśmy rozsądni – dokończyła, a Odrik parsknął cicho. Wiedziała, że kiwa głową za jej plecami. Wiedziała, że Sidhan uśmiecha się przelotnie, a Garo wzdycha bezgłośnie, w duchu przyznając jej rację. Wiedziała, że dziesięciu pozostałych wojów, choć pełnych wątpliwości, temu jednemu nie potrafi zaprzeczyć. Byli bjortari. Rzeczywiście nie byli rozsądni.

– Gdy chodzi o krew, idziemy za nią – kontynuowała warta, patrząc prosto przed siebie. Szli szybko, suchy piach zgrzytał im pod butami. – Prowadzą nas duchy naszych braci. Szepczą nam do ucha, kładą dłonie na ramionach. Idą za nami, z *nami*, gotowi stanąć obok, gdy przyjdzie pora. Nasi bracia zostali karmą hadharskiej żmii, duchy lodu domagają się więc podobnej ofiary. – Chatzka zmrużyła oczy. Wiara w mitycznego pustynnego gada Hadharu czy upiory zimy Heimareldu była prosta, zrozumiała dla wszystkich, oparta na instynktownie rozumianych regułach. Krew za krew. Życie za życie. Pod tym względem heimareldzkie klany bjortari

i hadharskie plemiona nie różniły się od siebie tak bardzo.

– Gdy chodzi o krew, nie jesteśmy rozsądni – westchnęła cicho. – Właśnie dlatego posłuchamy rakmy. Bo mówi o krwi tak samo, jak mówimy my. Bo rozumie ją tak samo. – Zamilkła na chwilę, wreszcie, kilkanaście





kroków dalej, zatrzymała się. – Wejdziemy na te ulice i nakarmimy je krwią, bo tak trzeba. O świcie słońce wykąpie się w czerwieni.

Bjortari milczeli chwilę, wreszcie Garo uśmiechnął się i skinął głową.

– Tak będzie – przytaknął, a za nim powtórzyli Sidhan, Odrík i cała reszta.

Potem obozowali. Podróżne namioty przez większość nocy pozostawały puste, bo ludzie gór jeszcze długo po zapadnięciu zmroku czuwali pod gwiazdami. Ponad rozpalonymi ogniskami niosły się gardłowe śpiewy, nie zawsze złożone z faktycznych słów. Sam ogień tańczył, wynoszony z palenisk na długich pochodniach i tańcuchach. Płomienie wirowały w zręcznych dłoniach Sidhana i Lekhri, spływały gorącymi strumieniami po nagim, lśniącym od potu ciele Amarii – tym samym ciele, które potem miękło w niedźwiedzich objęciach Garo. Tańczyli, śpiewali i kochali się pod usianym tysiącami gwiazd niebem Hadharu, nie próbując nawet się ukrywać. Zasnęli upojeni nie alkoholem, lecz czymś innym, czymś pierwotnym, czymś, czego żadne z nich nie potrafiło nazwać. Gdy zamykali oczy, widzieli ciała Synodu padające pod naporem zimnej stali, a w uszach brzmiała im jękliwa pieśń pustyni żerującej na rozlewanej krwi.

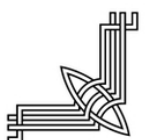
Ta noc była głośniejsza, z woli thynów, taki też miał być kolejny poranek.

* * *

Poranek śmierdział śmiercią. Chatzka wiedziała, że czuje to tylko ona, nie widziała jednak powodu, by uświadamiać pozostałych. Być może oni też czuli to podświadomie, nie w ulotnej woni nadchodzącej tragedii, ale w jakimś napięciu, wyczuwalnym iskrzeniu powietrza – nie chciała jednak pytać, nie chciała w ogóle o tym rozmawiać. Głównie dlatego, że nie wiedziała, o czyją śmierć chodziło. Może kultystów, a może ich własną. Ludzka krew pachniała tak samo niezależnie od pochodzenia, a mięso zawsze było tylko mięsem, niczym więcej.

Według rakmy kultystów urządzili się w pobliskiej wsi. Gdy opadły tumany porannej burzy piaskowej, zabudowania wyłoniły się powoli z kłębow gorącego kurzu. Kilka prostych, niewysokich chat, niewielki plac stanowiący umowne centrum osady, jakaś zagroda na obrzeżach zamieszkanym terenów – teraz pusta, choć niegdyś pewnie pełna popularnych w tym rejonie pustynnych kozłów. To nie było od początku miejsce Synodu, Chatzka była tego pewna. Kiedyś mieszkali tu zwykli ludzie, w domach zwieńczonych prostymi kopułami kłębiły się zwyczajne problemy życia codziennego. To potem coś się zadziało. To potem dotychczasowi mieszkańcy z jakiegoś powodu uznali za konieczne porzucić swe domy i odejść, szukając dla siebie lepszego miejsca. To potem – po tygodniach, miesiącach, a może latach od opustoszenia wsi – nadeszli kultysty, na powrót wypełniając głosami ciche ulice.

Teraz jednak głosów nie było słychać. Osada była pusta i milcząca. Gdyby nie pewność rakmy, że to właśnie tutaj skryli się fanatycy, Chatzka nie byłaby co do tego przekonana. Czuła ulotną woń potu i kilka innych,





nieodmiennie towarzyszących ludzkiej obecności, mimo tego wieś była zbyt spokojna, zbyt cicha. Wymarła, tak się wydawało.

– Nie wiem – rzucił Sidhan półgłosem. Od kilku chwil nie oderwał wzroku od nie tak odległych zabudowań, podobnie jak pozostali wypatrując jakiegokolwiek ruchu, najdrobniejszego cienia przemykającego wąskimi ulicami. – Nie jestem pewien, to...

– Oni tu są – stwierdził Garo krótko, głosem zaskakująco pełnym przekonania. – Czuję to, *nabbi*, bracia.

Chatzka powoli skinęła głową. Nozdrza drgały jej, gdy spośród otaczających ją zapachów starała się wyłapać te najbardziej interesujące.

– Są – przytaknęła cicho. – Czekają.

Żaden z jej towarzyszy nie odpowiedział. Spoglądali na nią, czekając na znak. Byli gotowi.

Gdy wreszcie ruszyła do wsi, podążyli za nią. Nawet, gdyby mieli gdzie się ukryć, nie robiliby tego. Bjortari nieobcy był podstęp, ale nie w takich sytuacjach. Nie wtedy, gdy prowadziła ich krew poległych braci, żądza sprawiedliwej zemsty. Prowadzeni przez duchy zmarłych, szli po swoje.

Kultyści rzeczywiście czekali, skryci w chatkach i pomiędzy nimi. Gdy w końcu wyszli z ukrycia, gotowi stawić czoła zagrożeniu, Chatzka nie mogła odmówić im odwagi. To godne pochwały, że zamierzali bronić swej osady. Walka o życie, o przetrwanie, to naprawdę godne podziwu. W obliczu nieuniknionego zachowali – cóż za ironia losu – zimną krew. Nie mogła tego nie docenić.

Chociaż, być może, Synod po prostu nie wiedział, z czym się mierzy. Może ci wszyscy młodzi ludzie, chłopczy i dziewczęta, w większości ledwo co dorośli, może po prostu nie mieli pojęcia, że nie będą w stanie udźwignąć tego starcia.

To nawet nie była walka. Nie można nazywać pojedynkiem czegoś tak jednostronnego, tak... Tak okrutnego. Bo oni byli okrutni, oczywiście, że tak. Najpierw Garo, potem Odrik i Sidhan, wreszcie pozostali, wszyscy towarzyszący jej wojowie – każdy z nich krzyczał o okrucieństwie. Bojowe, gardłowe, niemal zwierzęce wycia były pieśnią kaleczonych ciał, odrywanych kończyn, rozrywanego mięsa i chlustającej krwi. Chatzka słuchała, czując, jak głodny Zew rezonuje w jej ciele, wprawia w drżenie każdy mięsień i zmusza serce do szybszej pracy. Wojowie mijali ją, gnając ku rytualistom, a ona czekała, upajając się poczuciem siły.

Mieli ginąć ludzie i drzemący w Chatzce atyr oblizywał się już w wyrazie obrzydliwego łakomstwa.

Pierwszy z rytualistów poległ, gdy topór Odrika rozplątał go w niemal karykaturalny, trudny do wyobrażenia sposób. Młode ciało nagle utraciło swą zwartość, a wyraz zaskoczenia na znieruchomiłej twarzy utonął w strumieniach gorącej krwi. Fanatycy, choć uzbrojeni, nie byli gotowi. Nie mogli być.

Piaszczysta ziemia chłonęła karmazynowe potoki bez wybrzydzenia, nie rozróżniając, czyja krew była krwią jej dzieci, a która była tą zimną, obcą, zza morza. Białe ściany chat stroiły się w fantazyjne kompozycje





czerwonych plam, smug, rozprysków. Osada karmiła się na równi juchą Hadharu i Heimareldu, ale życia, ostatnie oddechy oddawały tylko jej własne dzieci.

I nagle wszystko znikło.

Chatzka szczerknęła ostrzegawczo, gdy gwałtowny wiatr natarł na zabudowania, dławiąc je i dusząc tumanami gęstego, suchego piasku. Strzelając spojrzeniem na boki, zatrzymała się nagle w środku bitwy, zdezorientowana. Jej zmysły, tak wrażliwe, tak doskonałe, na jedną krótką chwilę zawiodły, pozostawiając ją bezradną i nagą. Ucichły krzyki, przeraźliwe wycia mordowanych, które słyszała przecież jeszcze przed chwilą. Znikły zapachy, pozostawiając przerażającą pustkę tam, gdzie zaledwie przed momentem kottowały się przeróżne wonie. Widziała krew kapiącą z ostrza jej szerokiego miecza, ale nie rozumiała.

- Chatzka! - ryknął Sidhan.

Poczuła szarpnięcie za ramię i nagle znów było dobrze. Znów wszystko było na miejscu.

- Wszystko gra? - spytał woj, a ona mogła już skinąć głową, potwierdzić.

- Tak - warknęła krótko. - Tak - powtórzyła z większym przekonaniem. - Wszystko w porządku - zawahała się. - To rakma, Sidhan.

- Wiem - przytaknął mężczyzna. Jego głos z trudem przebijał się przez potępieńcze wycie burzy piaskowej. - Suka chroniąca własne dzieci, co?

Chatzka nie wiedziała, skąd to wie i skąd wie to Sidhan, ale nagle jasnym stało się, że było tak, jak mówił. To rzeczywiście była *ona*. Demon piasków przybyły na wezwanie swych... Kogo właściwie? Dzieci, tak powiedział Sidhan. Ale Chatzka nie była pewna. Nie była przekonana, że właśnie *dzieci*, a nie, na przykład, podwładnych. Zniewolonych. Przydatnych.

Rakma nie pokazała się im, nie w ludzkim ciele, ale varta czuła jej obecność i wiedziała, że dzinn jest wszystkim. Jest burzą i wyciem, gorącym i suchością, kurzem wciskającym się w gardło i okruchami piasku smagającymi boleśnie fragmenty odstąpiętej skóry.

Chwila minęła. Chatzka znów słyszała krzyki, na powrót pełne siły, ochocze, odważne. Ponownie czuła krew, ale teraz była to krew jej braci, zimna, znajoma, krew gór Euxaniru.

Zacisnęła pewniej dłoń na rękojeści miecza i rozejrzała się, niezdecydowana. Nie widziała wiele, świat zaczął sprowadzać się do pułapki z kłębow pyłu.

- Fi! - zawołała nagle, tknięta przekonaniem, że nie zrobi nic więcej. Nie ona i żaden z wojów - poza jednym. - Finnaval!

Nie odpowiedział, ale w końcu go zobaczyła. Postawny, szeroki w barach tak samo, jak każdy z pozostałych, teraz jednak nieuzbrojony. W którymś momencie musiał odrzucić topór, zamienić go na garść szarych, matowych kryształów.





Nie odpowiedział, ale Chatzka wiedziała, że ją słyszał. I że zrozumiał wcześniej, niż ona.

Kiedys zrodziło się przekonanie, że wszystkim rytuałom, całej pierwotnej magii towarzyszą zawsze tańce i śpiewy, wykrzykiwane gardłowo, chrapliwe mantry i zestaw dziwacznych gestów o bliżej nieokreślonym znaczeniu. W rzeczywistości jednak niewiele z tego było prawdą. Bjortari mieli swoje tańce i mieli śpiewy, mieli też wezwania w starym dialekcie i mieli gesty, to były jednak tylko ozdobniki. Potrzebne nie samej magii, ale tym, którzy patrzą.

Teraz, gdy chodziło o faktyczną, pierwotną siłę, Finnaval nie robił zupełnie nic. Tak się wydawało. Chatzka jednak patrzyła.

Z dłoni rytualisty kurczowo zaciśniętej na kryształach zaczęła cieknąć krew. Najpierw pojedyncze krople, potem wąty strumyk spływający po palcach mężczyzny. To nie była jednak krew mająca nakarmić gorącą ziemię. Dłoń rytualisty barwiła się karmazynem, ale nic nie spłynęło na piach. To była cenna krew. Zbyt cenna, by marnować ją na obcej ziemi i zbyt słodka, by kryształy pozwoliły jej uciec.

Utara była głodna, zawsze głodna. Krew rytualisty była dla niej, okruchy spaczenia piły ją łapczywie. Matowa szarość zaczęła tamać się smugami czerwieni.

Mgliste, wilgotne smugi zaczęły wyciekać z Finnvala najpierw leniwie, niemrawo, stopniowo jednak otaczając rytualistę coraz wyraźniejszą, gęstszą siecią. Ktoś znów krzychał, umierając, ale skyrma nie słuchał. Ktoś padł u jego stóp, z ostrzem zatopionym w ciele aż po rękojeść, ale rytualista nie patrzył.

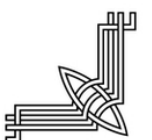
Chatzka chciała go zawołać, ale nie zrobiła tego. Słowa i tak nie przebiłyby się przez otulający mężczyznę kokon.

Wszystko w jednej chwili utonęło w okrutnym, bolesnym wyciu.

Varta skuliła się odruchowo, gdy przeraźliwy, świdrujący krzyk zaatakował jej nadwrażliwe uszy. Czują krew na policzkach i ból, którego nie potrafiła umiejscowić. Wszystko wyło. Wszystko rozpadało się. Wszystko umierało. Szary dym Finnvala – wilgotne, lepkie, zachłanne pasma utary – rozerwały piaskową burzę jak dziecko rozrywające zbyt delikatną zabawkę. Lub jak zwierzę, pomyślała Chatzka. Jak zwierzę rozszarpujące stódkie, miękkie mięso. Spaczenie wdarło się między kłęby kurzu, wcisnęło się w gorąco pustyni, rozlało się między ziarnami piachu szukając, szukając, szukając. Gdy zaś znalazło rdzeń – suche, gorące, pulsujące szybko serce żywiołu – oplótło go ciasno, zamknęło w zazdrośnych objęciach i wgrzyzło się łapczywie.

A potem wszystko ustało.

Finnaval osunął się na kolana, wyczerpany. Sidhan ukląkł obok niego, ocierając mu twarz z pyłu i krwi i pojąc z własnego buktaka. Chatzka nie wiedziała, czy dostali wszystkich, ciał było jednak wiele. Chodziła między nimi, patrząc na każde z nich. Nic nie czuła. Nie było żalu ani satysfakcji, zmęczenia ani słodkiego smaku zwycięstwa. Zrobili co do nich należało. Po prostu wykonali swoją pracę.





Przez chwilę odzyskiwali siły, siedząc w kałużach zasychającej krwi, pośród ciał zbyt młodych, zbyt delikatnych i, do niedawna, zbyt pełnych chorej, skrzywionej wiary. W którymś momencie Chatzka uśmiechnęła się gorzko. *Chorej i skrzywionej*. Kim była, by oceniać?

Nim odeszli, podłożyli ogień pod to, co zostało z osady. Zasypane hałdami gorącego piasku chaty nie od razu chwyciły płomienie, gdy jednak wreszcie się to stało, żywioł zachłannie wgrzył się w zabudowania i pożar je szybko. Stojąc na jednej z pobliskich wydm, warta spoglądała, jak ogień żerował na pozostawionych w osadzie ciałach. Zabrali tylko dwójkę własnych poległych. Kultysty mieli odejść bez godności, oddani tej ziemi, którą chcieli karmić.

W pewnej chwili nie była już sama. Swoich wojów wystąpiła w drogę powrotną – zamierzała ich potem dogonić – ktoś jednak stał u jej boku. Wiedziała kto. Poznawała zapach.

– Czujesz się lepiej? – spytała chrapliwie.

– Nie – odpowiedział rakma, razem z Chatzką obserwując wygłodniałe płomienie.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Wreszcie warta odetchnęła cicho, pozwalając, by towarzysząca jej od jakiegoś czasu myśl wreszcie ubrała się w słowa.

– To była twoja siostra – stwierdziła. Nie wiedziała, jak wygląda pokrewieństwo rakm, w ogóle niewiele o nich wiedziała, ale teraz, po wypowiedzeniu tego na głos, czuła, że ma rację. Nawet, jeśli dżinn określiłby relację jakoś inaczej, nadał jej jakąś inną nazwę, w gruncie rzeczy chodziłoby o to samo.

– Tak – przytaknęła mężczyzna bez wahania. – Moja siostra – umilkł na chwilę i gdy Chatzka myślała już, że nie powie nic więcej, rakma odezwał się ponownie. – To była ona. Ten kult, ten jego odłam – to ona i jej dzieci. Jej zwierzęta. Jej zabawki. I ta krew, ona też była dla niej. Nie dla Mah'Tali. – Głos rakmy przycichł. – Patrząca nigdy nie pragnęła krwi. Nie w taki sposób.

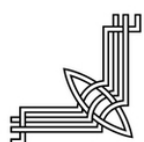
Chatzka milczała.

– To było złe, wiesz? – kontynuował rakma. – Wiesz, oczywiście. Wszyscy wiecie. Złe. Nie powinna. To nie... Krew nas syci, ale to nie tak. Nie robimy tak. Już od dawna. Ona nie rozumiała. Buntowała się. Była... – Dżinn zaśmiał się krótko. – Była dzieckiem. Była chora. Była. A ja nie mogłem nic zrobić, bo nie mogłem. Bo my nie możemy. Jeśli jesteśmy związani, nie możemy nic zrobić. Jeśli jesteśmy... *rodziną*. – Rakma skinął lekko głową, jakby utwierdzając się w zasadności użycia tego słowa. – Jeśli jesteśmy rodziną, to coś znaczy. Wszystko. Nie możemy nic zrobić.

– A inni? – spytała Chatzka. – Żyjecie w plemienu. Jest was wielu.

Rakma pokręcił głową.

– Rodzina – powiedział tylko.





Stali w milczeniu jeszcze chwilę, dopóki płomień nie zaczął przygasać. Wreszcie Chatzka odetchnęła cicho, wyprostowała się, po raz ostatni spojrzęła na zgliszcza. Gdy odchodziła, rakmy już przy niej nie było.

* * *

Leżała na skraju obozu, spoglądając w ciemne, usiane milionem gwiazd niebo. Tu, gdzie nie docierały światła Ahl'Tahał, głębia hadharskiej nocy była niemal przytłaczająca.

Wiedziała, że to nie koniec. Ta myśl nie dawała jej spokoju, rozrastała się i zakorzeniła, stając coraz bardziej pewną i trwałą. To nie mógł być koniec. Pamiętała, co powiedział jej rakma, lecz wiedziała też, że nie miał racji. Kult może i zrodził się z potrzeb dżinna, może jakiś jego odłam rzeczywiście obumrze teraz, gdy nie ma ich pustynnego ducha, ale to przecież nie wszystko. Krew nadal będzie karmić hadharską ziemię. Krew bjortari, zimna krew. Wyklęci przecież nie odejdą. Nie umrą. Nie można ich zniszczyć, spalić tak, jak spalili wieś. Było ich zbyt wielu. Długo o tym myślała i nie mogła pozbyć się wrażenia, że przez tyle lat, tyle dziesięcioleci, Synod stał się narządem Hadharu. Może nie pierwszym i nie najważniejszym, może takim, które dałoby się wyciąć bez większych strat dla Konfederacji, ale jednak był, tworzył jakiś organ, jakiś gruczoł, jakiś element mający znaczenie. Jafraci nigdy tego nie przyznają, Dziewięć Wież zawsze wyprze się wszystkiego, co było dla nich problematyczne, lecz to niczego nie zmieniało.

To była jej ostatnia noc przed powrotem do domu. Okręt mający zabrać ich do Heimareldu kołysał się już w doku, załadowany i czekający tylko na nich, hadharską zmianę bjortari. Podczas minionego dnia mieli co robić, zwijanie obozowiska, wnoszenie kolejnych skrzyń na pokład i żegnanie się z tymi, których warto było pożegnać – to wszystko było czasochłonne. Mimo to znalazła czas, by wrócić do spalonej wsi.

Udała się tam z jafratem Birhammem. Stali na tej samej wydmie, z której wcześniej obserwowowała szalejące płomień. Spoglądając na zgliszcza, mężczyzna tylko skinął głową. On też wiedział. Wszyscy wiedzieli.

To jeszcze nie był koniec.

Patrząc w niebo, uśmiechnęła się gorzko. *Będziemy ginąć i będziemy się mścić*, pomyślała. *A wszystko w imię bogów, ich i naszych*. Zmrużyła oczy. Jedna z gwiazd rozbłyła jaśniej, migocząc żywo jasnym, bladym blaskiem. Na usta Chatzki wpełzł powoli leniwy, drapieżny uśmiech. *Jeśli thynowie pozwolą, też tu będę. Rozoram pazurami gorące ciało Hadharu i umrę, dołączając do Eyjavada jako ta, która wykupiła rozlaną krew bjortari*. Odetchnęła cicho i wstała, po raz ostatni spoglądając w ciemne niebo. *To mój zew. Nie będę miała innego*.

